
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Henryk Paprocki – *Tam był głód jak czort*

Urodziłem się 3 czerwca 1914 r. w Pabianicach jako syn Józefa i Władysławy. Rodzice byli pracownikami fizycznymi. Ojciec pracował w tzw. „Częstochowie”, jak nazywano papiernię R. Kindlera. Ja pracowałem dorywczo. Czynną służbę wojskową odbywałem w latach 1936-1937 w Łodzi w kadrze zapasowej IV Szpitala Okręgowego.

W 1939 r. na skutek mobilizacji 2 września zgłosiłem się do oddziału w Łodzi, bo tam zostałem wezwany. Z tym oddziałem udałem się w stronę Warszawy. Oddział się przedzierał, bo stale były naloty samolotów i ostrzały artyleryjskie. Pod Regłami dostaliśmy się w potężny ostrzał artyleryjski. Jakoś to wszystko wyrwało na szosę i uciekło dalej przez Skierniewice do Warszawy. Przechodziłem przez most Kierbedzia akurat w czasie nalotu niemieckiego. Zdążyłem dojść przez most w krzaki, pod płotem. Potem cały oddział znowu się zebrał, ale już zmniejszony, bo zawsze ubywało po paru. Szliśmy dalej za Warszawę. Znowu był nalot. Po prawej stronie był las. W tym lesie były duże oddziały polskie. Schowały się przed nalotami.

Jak jechaliśmy, to ja do kolegów moich z Łodzi mówię – my tylko tam nie chodźmy do tego lasu. Po lewej stronie szosy były pola, rów. Nad tym

rowem rosły drzewa. Mówię – chłopcy, tam w te drzewa. Jak przyleciały niemieckie samoloty, jak zaczęły bić w las, to tylko się kwik zrobił, bo tam była artyleria konna. Przeczekaliśmy ten nalot i dalej szliśmy, bodajże przez Żelechów. Głodni jak czort – jedzenia nie było. Doszliśmy do miasta. Tam rozbite sklepy. Stare ciasta, pierniki twarde jak kamień. Tego się parę sztuk złapało. W naszym oddziale było z 90 ludzi. Byli też oficerowie.

Doszliśmy kawał na wschód. Idziemy i strzały – biją do nas. W pośpiechu oddział się rozdzielił. Jedni w tę, drudzy w tę stronę. Przeszliśmy tę wieś. Idzie człowiek, po polsku pięknie gada. Dochodzi do naszych oficerów i powiada – ja was przeprowadzę dalej. Wprowadził nas w wieś Laszki. To był Ukraińiec, ale gadał perfektnie po polsku. Jak nas wprowadził, to nas obstąpili, pod mur całą grupę. Moją koleżkę grzmotnął pistoletem w głowę. To byli bondziory ukraińscy. Takie dziady z brodami. Jeden z oficerów naszych na początku wsi odszedł w krzaki aby się załatwić. Usłyszał strzały, widzi, że coś jest nie w porządku. Zatrzymał się. Nie szedł za nami. Szła kompania lotników polskich (bo nie mieli samolotów). Cała kompania w szyku. Z opowiadania wiem. Nasz oficer do nich się dołączył.

Obstawili całą wieś, podpalili. Taka była zemsta, że zaatakowali polskie wojsko. To było między Sokalem a Włodzimierzem Wołyńskim. Jak oni nas pod murem trzymali, to ukraińscy cywile, ale każdy z gwiazdą, pistolety mieli – straż cywilna, mówią – „nie lzia, to są plenne” – jeńcy, nie wolno. Dwóch rannych dali na podwodę i prowadzą nas. Dotarliśmy do jakiejś szkoły. Wprowadzili, ciasno w tej szkole, bo mała, jednoklasowa. Nawet usiąść nie było jak. Wsadzili. Będą strzelać jak będziemy uciekać. To był wieczór. Męczyło się to bractwo całą noc, ale rano zaczyna świtać. Ludzie odzywają się – otwórz drzwi, zobaczymy co jest, kiedy nas wypuszczą. To otwórz ty, żeby mnie przasnęli. Otwórz drzwi i pchnij, nie wychodź.

Otworzyli. Nic, cisza, to głowę wychylił – nie ma nikogo. Nikt nas nie pilnuje, to po jednym wychodzą. Stoimy, patrzymy, strach iść, bo we wsi jesteśmy. Z daleka podszedł człowiek i tyłem odwrócony, mówi do nas dosyć głośno – panowie, ja was przeprowadzę, tylko nie zaraz za mną idźcie, ja pójdę do Bugu. Stamtąd dojdziecie do Sokala.

Idziemy. Teren spada w dół. Ten człowiek stanął tak, żeby go było widać i pokazał ręką kierunek, a sam zawrócił. Jeszcze nam przedtem powiedział – ja jestem osadnikiem wojskowym. Przeszliśmy przez wzgórze, patrzymy na Bug. Przez rzekę widać domki Sokala. Widać, że nadzieja jakaś jest. A głodny człowiek jak czort.

Wleźliśmy, zaraz się pytamy cywili, a każdy bał się odezwać, gdzie tu można coś kupić. Jedna baba się odważyła i powiada, że tu jest kuchnia dla rozbitków, tam się mało płaci, a zupę można dostać. To było przy głównej ulicy. Dawali tylko jedną porcję, a ja bym wiadro zjadł. To było 17-18 września, bo już Sowietci weszli. Zjedliśmy tę zupę i idziemy kupić chleba. Idziemy po chałupach. Podszedłem do jednego domu. To była rodzina kolejarza. Jego nie było w domu, żona tylko była. Pytam czy nie sprzeda chleba, bo jesteśmy głodni. Ona mówi, że nie – nigdzie pan nic nie kupi.

Powiada – niech no pan zaczeka. Poszła do kuchni i przyniosła kawałek chleba, a nas było siedmiu czy ośmiu. Razem się trzymaliśmy, byliśmy

z jednego rocznika. Mówię – płacę pani. Ona – o nie, na sprzedaż nie mam, ja nie mam nawet dla męża też. Miałem kawałek mydła – niech pani chociaż to weźmie, ja i tak brudem zarosnę. O panie, to więcej jak pieniądze.

Poszliśmy na stację – rozbita. Pociągi nie idą, ale już naprawiają. Mówią, że trzeba czekać do jutra. Nazajutrz wsiedliśmy do pociągu. Jedziemy na Włodzimierz Wołyński. Na szóstym-siódmych kilometrze przed Włodzimierzem pociąg stanął, bo popsute wszystko. Wylazimy. Niektórzy biorą się, żeby na zachód na piechotę walić, ale miejscowi ludzie mówią – bandy ukraińskie grasują. Jedna grupa poszła. Było ich 15-18 osób. Nie wiem co z nimi później było. Ja z moją paką dotarliśmy do Włodzimierza. Mówią, że tor naprawiają. W garkuchni znów kupiliśmy jedzenie.

Pociąg zawiózł nas do Kowla. To był 21-22 września. W Kowlu znowu głód jak czort, więc wylazłem do miasta, żeby coś kupić. Inni poszli w pole. Dwie, trzy gęsi złapali. Mieli co jeść, a my nic. Do jakiejś baby poszedłem. Panoczku, mam tu kapustę ugotowaną, mogę poczęstować. Człowiek zaspokoił głód. Wracamy do miasta. Idziemy na stację, do torów. Od razu wojsko sowieckie otoczyło stację i pędzą do koszar. Tam nas wpędzili. Nie ma żarcia, nic.

Wsadzili nas w pociąg. Dużo tam zwiało, bo nie bardzo Sowieci pilnowali przy bramie. A ja z chłopakami się trzymałem. Trochę się bałem, nieznane strony. Byliśmy razem: Józef Włodarczyk, Stanisław Dawidzki, Leonard Kędziński, było dwóch Żydów, którzy razem służyli w czynnej służbie. Reszta nazwisk uciekła mi z pamięci.

Wsadzili nas do pociągu i mówią – jedzicie do Polski. Siedzimy. Jednego z nas podsadzili do okienka. Ten przy okienku mówi – chłopcy, do Szepietówki jedziemy. W Szepietówce wsadzili nas do koszar sowieckich. Na pierwszym piętrze nie było desek, nic tylko cement. Jeszcze zdążyłem wyskoczyć na dół, z płotu wziąłem dwie deski, żeby nie leżeć na cemencie. Tam byliśmy siedem dni. W tym czasie dostałem dwa razy jeść.

Tam było około 20 tysięcy żołnierzy. Dawali chleba po 400 gramów na osobę. Gotowali przez 24 godziny [na dobę], ale kotły małe, a wojska dużo. Po siedmiu dniach pędzą nas na piechotę. Ja byłem jeszcze na tyle mocny, że jakoś się trzymałem. Byłem, bo porobili brygady, w końcowej brygadzie, ale wysforowaliśmy się do przodu. Jak kto upadł, to oni się nie patyczkowali.

Doszliśmy do Zdołbunowa na stację kolejową. Wsadzili nas do wagonów. Patrzymy idą baby wiejskie z wielkimi koszami z chlebem pokrojonym w pajdy. Niosły dla nas. Jak się wszyscy rzucili, wyrwali do tego kosza. Nie patrzyliśmy na konwojentów, co nas pilnowali. Spódnice tych kobiet tylko fruwały. Rzucili się, przewracali, podeptali. Kto coś złapał to jego. Bojcy wsadzili nas z powrotem [do wagonów], przywieźli do Dubna.

Wsadzili nas do chmielarni. To było dość duże pomieszczenie. Pierwsza rzecz, która była to „weskobojka”, bania i latryna, a kuchnia to na końcu. W Dubnie mieszkało dużo Polaków, to jak który mógł coś rzucić, no to rzucił, bo tak to nie puszczali ich bojce. W końcu na drugi-trzeci dzień powstała kuchnia. Porobiły się komitety, żeby dożywiać ludzi. W naszym gronie z Łodzi było dwóch Żydów. Przychodzą ze trzy Żydówki z koszykami, żarcie noszą i tylko wybierają Żydów. Ci już się odseparowali od nas. Ja myślałem, że ci Żydzi podzielą się chociaż czymś, a oni nie. Ja w Pabianicach mieszkałem

przed wojną na ulicy Krótkiej. Tam mieszkało sporo Żydów, to człowiek rozumiał ich mowę trochę. Do jednego Żyda mówię: no jak sami, a jak my coś zdobyli, te pierniki, to żarliście nasze, co? Zobaczysz jutro będzie inaczej. Ja się do was przyłączę. Ja zarośnięty taki. Na mnie Żyd mówili, jeszcze teraz po wojnie, bo łeb kręcony miałem. – Jak jutro odezwiesz się coś, to ja z tymi babami dam sobie radę.

Na drugi dzień przyszedł Żydówki z jedzeniem. Owiązałem sobie ręcznikiem szyję, że chory. Udawałem że chrypę taką mam i nie mogę mówić. Dały mi trochę żarcia, może nie tyle, co tym prawdziwym Żydom, ale dały. Poszedłem do swojej paczki, dzielę się.

Jak zrobili kuchnię, to było normalne jedzenie. To było jeszcze polskie miasto, więc jak na niewolę, to nie było złe jedzenie. Zatrudnili mnie na stacji. Tam dowozili kamienie do budowy szosy. Mieliśmy zadanie poszerzać drogę, bukwować pod asfalt. To była droga Lwów-Moskwa. Dali mnie do wydałowywania kamieni. Pod konwojem. Byliśmy jeszcze w mundurach wojskowych, póki się nie zdarli. Inni tłukli te kamienie. Praca była na normę. Człowiek był niedoświadczony w tej pracy. Jak lichą normę wyrobił, to dostawał 400 gramów chleba i zupę. Cały czas w kichach grało. Jak przyszedł wagon, to wydałowywaliśmy w czterech-pięciu. Jak wagonu nie było, to czekaliśmy. To była lepsza robota niż tłuczenie kamieni.

Jak zrobiliśmy odcinek drogi, to przetrzucili nas pod Wołoczyska. To też jest na dawnej granicy polsko-rosyjskiej. Tam też zatrudnili przy robotach drogowych. W listopadzie 1939 r. to było. Byliśmy w wiosce Omyliany. Tam spadły olbrzymie śniegi, że strach. Uniemożliwiały prace drogowe. Siedzieliśmy w namiotach, 200 ludzi w jednym. Wyznaczano brygady do odśnieżania dróg. Człowiek kombinował jak mógł, aby jakoś przeżyć. Wytrzymaliśmy tam do wiosny.

Stamtąd nas przesłali do Jarmolińców koło Płoskirowa. To było na terenach rosyjskich. Tam budowaliśmy lotnisko. To był kwiecień 1940 r. Ciężka to była praca, bo znowu normy. Tam nastali dużo swoich wozaków. Tam trzeba było wycinać darninę, którą oni wywozili. Ci wozacy mieli do czorta rubli, ale obszarpani byli, same strzępy, a my mieliśmy jeszcze jakieś ubrania, koszulki. Nam w obozach zaczęli dawać bieliznę. Jak ktoś podał mundur, to dali mu kufajkę. Jak się szło do roboty, to wszyscy prosili „sprzedaj, sprzedaj¹”. Ja sprzedałem kaptur na zamianę i pieniądze. Był w obozie sklepik w Jarmolińcach i można było coś kupić.

Na drugi dzień wzywają do roboty na zbiórkę, ja nie wychodzę. Zostali ci, co nie poszli na zbiórkę. Wygonili na plac, ustawili się w szeregu. Naczelnik chodzi z bojcami i pyta dlaczego nie poszliśmy do pracy. Jeden mówi, że ząb go boli – to stawaj tu, ten mówi, że koszuli nie ma, to stań tu. Do mnie przychodzi – „sapogow niet²”, to stawaj. Poszło się do magazynu, wydali mi *sapogi*, już takie rosyjskie, gumowe. Zaraz na zbiórkę i do roboty. Ten, co go ząb bolał – to do Płoskirowa do dentysty i rwać. „Który ząb boli?” – „Już przestał!” – „Nie ma, rozkaz rwać!”. Wyrwali zdrowego. To na drugi dzień z zębami nie było żadnego, tylko z bielizną.

¹ Sprzedaj, sprzedaj!

² Nie mam butów.

Tak przetrzymaliśmy do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. Przychodzi rozkaz, bo już Niemcy nacierają coraz bliżej i na wschód. Wyszeregowali nas.

19 dni na piechotę do Złotonoszy nad Dnieprem. Doszliśmy zmęczeni. Żarcie było dorywczo. Rozłokowali nas na cmentarzu. Tam nie było pomników, tylko pagóreczki i tyle. Ja się położyłem między tymi pagórkami. Pogoda była piękna. Dali coś jeść, człowiek już nie był taki głodny. Leżę, a od razu gdzieś nad ranem czuję wodę. Deszcz lał, a człowiek taki był zmachany, że się tego nie czuło. Przebudził się dopiero wtedy, jak zaczął pływać. W tym miejscu był kolejowy most. Mówię, dawaj na drugą stronę, a tu niemieckie samoloty i pukają. Jakie Szwaby byli, takie byli, ale jak widzieli, że jeńcy, to się wstrzymali i nie bombardowali. Przelecieliśmy przez ten most na drugą stronę Dniepru. Tam rozłożyliśmy się. Miał przyjść pociąg.

U nas byli ci ze wschodnich terenów polskich, to zrobili z nich brygadę (bez konwoju). W naszej grupie był brygadzysta, Kazięko się nazywał. Ja go za dobrze nie znałem. Nikt nie kontrolował, kto co zrobił. Zawsze było na wywieszce, że brygada normę zrobiła, a co oni tam zrobili, to nikogo nie obchodziło.

Te brygady wsadzili w wagony bydłące, kryte, a nas na lory odkryte. Napakowali na lory tak, że jeden drugiemu siedział pomiędzy nogami. Jak który chciał się załatwić na cienko, to trzeba było palce podnieść jak w szkole i dopiero przeszło się i z góry się zrobiło. Jak nas rozłokowali, przyleciały niemieckie samoloty. Ci rozkonwojowani wyskoczyli z wagonów. Niemcy rzucali malutkie granaciki i kilku rozwalili. Naszych nie. Każdy siedział, łeb przychylił, to nawet jak odłamek leciał, to przeleciał.

Stamtąd przywieźli nas do Starobielska. Umieścili nas na dziedzińcu, ulokowali w starej szopie. Tam były prycze. Przed nami byli [tam] oficerowie polscy. Jak wieczór przyszedł, to pluskwy kapały jak deszcz. W kaplicy były porobione prycze pięciopiętrowe. Ja raz poszedłem do tej kaplicy zajrzeć, bo w obozie można było się poruszać. Ściany były wybielone wapnem, ale słabo, więc widać było napisy – jutro wywożą nas tam, i podpisy taki i taki pułkownik, major, porucznik, komendant straży, nauczyciel. Całe ściany popisane były przez tych, których wykończyli w Miednoje³. Tam żarcie było liche, ale dawali co nieco.

Raptem przyszedł rozkaz – korpus się tworzy, 2. Korpus Polski⁴. Jak szedłem na wojnę, to po skończonej szkole podoficerskiej, kaprała miałem, a na skutek mobilizacji o jeden stopień podnosili, więc miałem plutonowego. Do 18. pułku mnie wsadzili. Miałem to szczęście, że z naszego grona był chorąży. Kierownikiem kuchni go zrobili. On mówi – ty nie bądź frajer, przychodź tam sprzątać. Poszedłem dwa razy sprzątać, to trochę pojadłem zupy.

Utworzyli wojsko i wymarsz na stację oddziałami, kompaniami. Naprzeciwko wali oddział sowiecki. Dowódca ich krzyczy: „smirno!”⁵, bo idą sojusznicy. Doprowadzili nas na stację, wsadzili w pociąg. Jedziemy. Znaleźliśmy się w Tockoje. Tam było do 62 stopni mrozu (ale nie co noc).

³ Powinno być w Charkowie.

⁴ Chodzi o Armię Polską w ZSRR.

⁵ Cicho!

W Tockoje byliśmy do lutego 1942 r. Byłem przydzielony do IV kompani, 18. pułk piechoty. Szefem był starszy sierżant. Dowódcą był kapitan Łokaj. Siedzimy w namiotach. Żarcie było niewystarczające jak w Rosji w ogóle. Anglicy zaczęli wtedy przysyłać wyposażenie wojskowe. To leżało przy torach i trzeba było tego pilnować. Każdy z żołnierzy się pchał, żeby trafić na wartę na stację do pilnowania tego, bo zawsze coś okroiło się. Raz mnie się udało [dostać] na rozprawiającego wartę. Miałem przy sobie kawałek mydła wielkości palca. Chciało się coś zdobyć. Poszedłem po chałupach kolejarzy przy stacji. Raz, dwa – żebym zdążył na wymianę warty. Idę do jednej chałupy – e tam chleba!, idę do drugiej – nie ma. W jednej baba zapytała – a *myłło*⁶ jest? Mówię – mam. Ona dała mi chleba.

Cała warta się zmówiła. Któryś skombinował barana. Koniec warty, idziemy do koszar. Dowódca na koniu, wojsko idzie, w środku baran. Dowódca tylko się uśmiechnął. Przywlekli tego barana, zaszlachtowali. Dostałem swój przydział. W namiocie postawiłem na półce. Ukradli mi.

Tockoje to obwód czelabiński. Mieszkaliśmy w mrozy w namiotach, na dechach, bez koców. W namiocie było nas dwunastu. Przez środek było przejście, a na końcu gliniany piec kryty blachą. Akurat miałem przy nim nogi. Całe 24 godziny na dobę paliło się. Wojsko miało tylko za zadanie iść do lasu po drzewo, a z powrotem z drzewem. Jak mrówki tak chodziliśmy z tym drzewem. Jak położyłem się, to głowa przymarzała do płótna namiotowego. Tak było do lutego 1942 r. W lutym znowu nas wsadzili do wagonów i pojechaliśmy na południe, do Uzbekistanu, przez Taszkent i Kagan.

W Kaganie zaprowadzili nas do łaźni, to udało mi się kupić coś do żarcia. Podzieliłem się z kolegami. Tam był głód jak czort. Jeden rzeźnik mówił – idź do rzeki, nad brzegiem łap żółwie i przynieś. Poszedłem, złapałem dwa. On tasakiem po żółwiu. Gotował w wiadrze. Jakie to dobre. Kura niech się schowa. Nie było nawet soli, to poszedłem na izbę chorych i sól na przeczyszczenie wziąłem. Liście braliśmy ze stepu. Były jak włoszczyzna. Tak się jakoś przeżyło.

Zawieźli nas do miejscowości Czirakczy w Uzbekistanie. Miasteczko może z pięć tysięcy mieszkańców, ale wojsko całe w namiotach. Tam nabiłem się czerwonej i malarii. Była izba chorych zrobiona w uzbeckiej szkole. Cały budynek szkolny – jedna izba. Szefem izby chorych był plutonowy z Dąbrowy pod Pawlikowicami. Nazywał się Bryl (chyba Leon). Raptem Bryl zachorował, bo mnie dali do prowadzenia kancelarii, bo tam chorych było dużo. Zmiana klimatu to robiła. Na przykład leżę w namiocie – śpię. W ciągu nocy, był kwiecień czy maj, wychodzi z ziemi wąż i stoi, 1-5-2 metry długi i klap, poszedł z namiotu. Tam były nieduże wężyki, odmiana kobry indyjskiej. Były straszne, jak ukąsiły, to śmierć.

Raz mnie wołają do izby chorych. Przynieśli żołnierza. Ugryzł go pająk – czarna wdowa. Szybko w samochód i do szpitala, i tam został. Później spotkałem go we Włoszech. Skorpiony – tych było do czorta. Tarantule też. Jak złapało się skorpion i tarantulę, to robili zawody jak tarantula poluje na skorpion.

⁶ Mydło.

Szefem izby chorych był starszy sierżant, pochodził z Wilna. Raptem dr Trojańczyk wydaje mi rozkaz – pojedziesz do szpitala sowieckiego (jakieś dwa kilometry w polu) i zabierzesz zwłoki Bryła, bo umarł.

Wziąłem patrol sanitarny z noszami, dwóch szeregowych i patrolowy trzeci, a ja jako czwarty, urzędnik. Melduję się w szpitalu, że przyszedłem po zwłoki Bryła. Prowadzi mnie do komórki z gliny. Mówią – „zdies”⁷. Ja Bryła dobrze nie znałem, może raz go widziałem. Był to dosyć wysoki człowiek. Patrę – kościotrup, leży sam szkielet owinięty skórą. To na pewno Bryl? – Bryl. Żadnego papierka, nic, tylko napisana kartka.

Przywieźliśmy go i mówię – poruczniku, to jest Bryl, czy Pan go widział, bo ja go nie znałem, to nie wiem. Za Bryła my go pochowaliśmy. Był pogrzeb.

Przyszedł rozkaz, że nasz Korpus ma się z Rosji wynosić. Sowietci dali płaszcze, szynele wojskowe dla chorych zamiast koców. Te szynele, co jeszcze nadawały się do użytku trzeba było oddać Sowietom, a resztę spalić. Mnie doktor wyznaczył to spalanie. Zabrałem dwóch zaufanych. Naprzeciwko izby chorych była kooperatywa, jak oni nazywali sklep, ze wszystkim – woda i mocne czerwone sowieckie wino. Uzbek to prowadził. Pyta się nas czy mamy coś do sprzedania, płacę dobrze, „dziengów niet”⁸ – wino. Mówię do chłopaków, zrobimy protokół likwidacji, że to wszystko nie nadawało się do użytku. Nabieraliśmy chrustu na stepie, podpaliliśmy, że wszystko spalone. Poszliśmy do Uzbeka, wina przynieśliśmy za szynele. Wieczorem zrobiliśmy popijawę.

Tam była rzeka, nazywała się Kaszka-daria, szła bystro z gór. Do niej napływał potok, ale spokojny, prawie stojąca woda. Ten potok był zakrzaczony na brzegach. W upały woda tak się nagrzewała w potoku, że prawie gorąca była. Takie gorąco było. Jak popiliśmy zdrowo, poszliśmy się kąpać, a czort wiedział, że tam siedzą widliszki, co roznoszą malarię. Na drugi dzień jest wyjazd, a mnie trzęsie, w nocy duża gorączka 41-42°. Był rozkaz, że chorych nie zabierają, tylko zostają w Rosji. Dobrze z dr. Jańczykiem żyłem. On powiada – włącz na wóz pomiędzy wywożone sprzęty, kotły, niech cię nakryją czymś.

Jechaliśmy 11 km do stacji kolejowej. Załadowali nas. Ta malaria nazywa się trzecianka, bo co trzy dni łapie atak diabelny. Mnie akurat przestało trząść. Człowiek był słaby jak wyżęty. Wlazłem na piętrową prycę i jedziemy do Krasnowodzka. Przyjechaliśmy, wysadzili nas. Sowietci mówią, że wojsko nasze uciekło z Rosji. Ładują nas na statek sowiecki „Michaił Kaganowicz”. Ciasno.

Przyjechaliśmy przez jedną noc przez Morze Kaspijskie, do Pahlewi w Iranie. Na górze stał sowiecki żołnierz, to nasi mu grozili pięściami, bo już byliśmy w Iranie. On się odwrócił i nie patrzył. Zawieźli nas do obozu nad samym morzem, namioty. Pora obiadu. Ustawiło się to wszystko nasze, głodziarze, podchodzą do kotłów. Nakładają nam Murzyni (z angielskiej armii). Podchodzi człowiek z menachą, ledwo się odeszło, to się kituje. Kto był głupi, to drugi raz dostał, nikt nie pytał. Niektórym żołądki popękały z przejedzenia. Ja trochę pojadłem z przerwami. Tam dali nam pierwszy żołąd (angielski). To był 2 Korpus Polski, IV dywizja, ale tam zmieniło się na system angielski i był 2 Korpus, V Kresowa Dywizja, VI Brygada, 18. Lwowski Batalion Strzelców.

⁷ Tutaj.

⁸ Pieniędzy nie ma.

Przewieźli na do miejscowości Kizilrybat. Tam też w namiotach. Automatycznie dali mi wtedy sierżanta. Nie wiem z jakiej racji zrobili w naszym batalionie przyjęcie, na które przyjechał Anders i mówi – ja ze swoim wojskiem. Każdemu żołnierzowi bez wyjątku rękę podał. Usiadł, malutkiego wypił. Taka fuszerka z cytryny była zrobiona. Podziękował i pojechał. Wizytował oddziały. Wtedy miałam zaszczyt podać rękę gen. Andersowi.

Potem przenieśli nas do Rijkirku, do Palestyny. Wylądowałem w Afryce, ale zaraz nad brzegiem Morza Śródziemnego – w Ismaili w Egipcie. Przewieźli nas do Włoch. We Włoszech całą kompanię przeszedłem od A do Z. Poturbowany byłem na Wzgórzu Widmo.

Pod Monte Cassino, dnia 11 maja 1944 r. o godzinie tzw. H (w nocy) wyruszyliśmy na Wzgórze Widmo. Tam było piekło. Tam pierwszy raz dostaliśmy wytrask od Niemców. Wojsko musiało się wycofać do wąwozu. Tam stały nasze moździerze. 17 maja drugi raz uderzyliśmy i poszliśmy do Piedimonte. Tam siedziałem ze swoim plutonem blisko górskiej drogi, po której posuwało się wojsko. Nasze dowództwo było dalej trochę w jaskini. Niemcy byli nad nami. Ta wieś nazywała się Santa Lucia. Była rozbita, nie było ani jednego człowieka, a w domach ściany były tylko do połowy.

Pewnego dnia, już było ciemno, 10.10 wieczorem przyprowadzono z III Dywizji Karpackiej dwie osoby. Jeden w mundurze, a drugi też jakby w mundurze i mówią, że do dowódcy batalionu. Wyszedł mój porucznik Jańczyk i mówi – prosimy tu najpierw, bo nie można za dużo ruchu robić. Niemcy wszystko widzą. Oni weszli do przyjut. Porucznik mówi do mnie – Heniek, weź nakrycie zrób z koców nad nami. Musimy się poznać z nimi. Zaraz znalazła się butla ginu. Ksiądz kapelan przyszedł. Pijak był jak nie wiem. Nazywał się Władysław Mróz. Wsadziłem do nich z ciekawości łąb, patrzę – Władzio. Boga rety, mówię, księżu kapelanie. Ja jestem z kadry zapasowej IV Szpitala. On powiada, że jak tak toś mój budrys.

Porozmawiamy później. Poszli, ja wróciłem do plutonu i myślę skąd on się wziął tutaj. Porucznik mi powiedział, że on wykładał religię w szkole podoficerskiej w Łodzi. Na trzeci dzień spotykam księdza i mówię, że mieliśmy porozmawiać, bo ja jestem z Łodzi. Ksiądz pyta kto był dowódcą kompanii, mówię – kapitan Solka, a jego zastępcą – porucznik taki i taki. A szefem kompanii kto był – starszy sierżant Strzelczyk, który tu jest w korpusie. No, toś budrys. On tak nazywał swoich.

Ksiądz dostał do swoich potrzeb półtoratonówkę. Wzięli nas na krótki odpoczynek i kapelan mówi – budrysie, jedziesz ze mną do Rzymu na urlop? – Bo to mnie puszcza? – Ja to załatwię. – Ale księżu kapelanie sam nie mogę jechać, wezmę jakiegoś kolegę. – No, to weź jakiegoś porządnego chłopca.

No to wziąłem Zygmunta Płockiego i kierowca był trzeci. Po drodze zajechaliśmy do Asyżu. Tam nam wypadł nocleg. Ja byłem tłumaczem batalionu, bo łatwo nauczyłem się języka włoskiego. Mówię w hoteliku do gospodyni, że tu przenocujemy, ale ksiądz powiada – urządz kolację. W holu stoły postawiliśmy. Ksiądz miał dwie skrzynki żelazne od amunicji. Otworzyłem, na wierzchu komża, ale dalej twardo. Zaglądam – butelka przy butelce. Dwie półlitrowki postawiliśmy. Gospodyni miała córkę 15-16 letnią.

Mówię do gospodyni – tu jest wojsko, żołnierze, lepiej córkę wysłać do rodziny, bo niebezpiecznie. Ona ją wysłała do siostry. Jak siadamy do stołu, to pytają, gdzie młoda jest. Zły był, że jej nie ma.

Na drugi dzień pojechaliśmy do Rzymu. Ksiądz zawiózł nas do klasztoru, gdzie było trzech księży z Polski i powiada – tu będziemy. Ja mówię – nie, my z kolegą idziemy prywatnie. On mówi – jak to, ja za was odpowiadam. Rzym był już oswobodzony. Zwiedzaliśmy przez dwa-trzy dni Rzym. Byłem u papieża na audyencji, w Bazylice św. Piotra. Chociaż tyle mam z tej wojaczki. Potem na odcinek z powrotem.

Mam odznaczenia wojsk zachodnich za Monte Cassino, Anconę, Bolonię (trypaskowe). Dowódcą moim w Korpusie, jeszcze w Rosji, był płk Lachowicz (Jan?). Po nim był płk Ludwik Domoń. Późno przyjechał do Polski. Był w Katowicach. Już zmarł. Następnie, już batalionu, obecnie podpułkownik Aleksander Florkowski. Dowódcą brygady był gen. Klemens Rudnicki. Dowódcą V Kresowej Dywizji – gen. Nikodem Sulik.

Całą wojnę przeszło się we Włoszech. Zakończenie było kawał za Bolonią. Później siedziałem w Eforii, następnie w Vittorio Veneto. Tam nas ostrzegli, żeby na miasto pojedynczo nie chodzić, tylko w trzech, z bronią, bo tam partyzanci, Alpy niedaleko. Ni stąd ni z owąd tych Włochów się nazbierało, zaraz koledzy. Tam jakby kto poszedł, wyczuli, że ma pieniądze, to by obrabowali. Tam dobrze było w Veneto. Tam zostali Polacy, pożegnali się.

Mnie się nie podobało, zdecydowałem się [wyjechać] do Anglii. We wrześniu 1946 r. wyznaczyłem się sam na kwatermistrza. Wojsko jechało pociągami, a później płynęło przez Kanał La Manche. Ja mówię, pojedę raz okrętem. Płynęliśmy przez Cieśninę Gibraltarską do Glasgow. Z Glasgow pociągiem. 90 km od Londynu był Heifor Camp. Tam staliśmy. Jest maj 1947 r., mówię, co ja tu będę robił. Czuję się Polakiem, walę do Polski.

11 czerwca 1947 r. oficer nam przemowę wygłosił, że nikt nas stąd nie wygania, macie prawo tu zostać, ale nikt wam nie może zabronić wracać do kraju. Decyzja należy do was. Podziękował.

Przyjechaliśmy do Gdańska Wrzeszcza. W Gdańsku specjalnego przywitania nie było tylko od razu nas wyprowadzili do obozu przejściowego dla tych wszystkich, co wracali do kraju. To były baraki. Było miejsce do spania. Chodził sprzętacz i nosił polską gorzałkę, nieduże buteleczki, ale nie chciał pieniędzy, tylko papierosy, mydło, konserwy. Wziąłem sobie taką jedną buteleczkę.

Dowiaduję się, że kto chce jechać do domu musi załatwić wszystko, bo trzeba się zameldować – stemple różne, do fotografii. Zdjęcia robili takie jak kryminalistom, z jednej, z drugiej strony, takie szare. Powiedziało dowództwo w Gdańsku, że jak przyjadę do domu, do miejsca przeznaczenia, to muszę się zameldować w WKR⁹ i w Komitecie partyjnym – po pracę.

Przyjechałem i walę do magistratu w Pabianicach i melduję się. Na ulicy Sejmowej był WKR. Jest jeden pokój, sierżant siedzi za stołem, drzwi otwarte, a na wprost drugi pokój, siedzi oficer. Wchodzę po wojskowemu ubrany, beret zdjąłem. Mówię – przyszedłem zameldować swój przyjazd. Daję książeczkę wojskową. Proszę usiąść. Zapisał nazwisko, imię, imię ojca, kiedy się

⁹ WKR – Wojskowe Komendy Rejonowe zostały wprowadzone w 1950 r. W 1947 r. autor miał się zgłosić do Rejonowej Komendy Uzuppełnień.

urodziłem, adres, datę zakończenia służby wojskowej. Zatrzymał moją książeczkę z Armii Andersa i daje mi inną. Ja mówię – nie, zabieram, to jest dokument, ja mogę innych dokumentów nie mieć. Popatrzył, pochylił się nad papierami – my wszystkim tak. O, nie – albo proszę mi wszystko przepisać do nowej książeczki, albo oddać. Zameldowałem, że przyjechałem. Książeczkę pan widział. Podnosi się ten z przeciwka – sierżancie, proszę wypełnić tak jak prosi. Ten dokument będzie służył do wszystkiego. Okazuje się, że to był pan Orzech. Ja mu to po latach przypomniałem.

[...] Poszedłem do komitetu partyjnego. [...] Tu mnie przysłano na pracę. Wystali mnie do Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Tam był oddział gumowania plandek. To była dobrze płatna praca. Wówczas byłem kawalerem.

Ożeniłem się w 1948 r. Tam pracowałem do 1949 r. Potem skierowali mnie do pracy w Zakładzie Ubezpieczeń. Pracowałem w Wydziale Ewidencji. Potem przenieśli do Wydziału Zasiłków, to musiałem chodzić na kontrole w teren – województwo sieradzkie, piotrkowskie itd. To jeździłem po tym świecie i jakoś człowiek żył. Pracowałem do 75 roku życia.

Mam medal Wojska Polskiego, gwiazdę włoską, medal angielski. Wszystkiego jest 12 sztuk. Mój wnuk służy teraz w wojsku.

Gdy wybuchła II wojna światowa Henryk Paprocki był już dorosłym człowiekiem. We wrześniu 1939 r. ten dwudziestopięcioletni mężczyzna został zmobilizowany do obrony ojczyzny. Uczestniczył w wojnie z Niemcami. Siedemnasty dzień września 1939 r. odmienił losy Polski i kampanii wrześniowej oraz życie autora wspomnień. Paprocki został ujęty przez Sowietów w Kowlu, a wkrótce trafił do obozu internowania w Dubnie. Jako podoficer (Henryk Paprocki był plutonowym) uniknął śmierci w trakcie zbrodni katyńskiej. Radzieckie służby bezpieczeństwa państwowego nie widziały w nim szczególnego zagrożenia dla nowego porządku geopolitycznego. Od jesieni 1939 r. przebywał w obozach internowania – kolejno w: Dubnie, Omykanach i Jarmolińcach (pod Płoskirowem – obecnie Chmielnicki), gdzie pracował przy budowie drogi Lwów-Kijów oraz lotniska. Po napaści III Rzeszy na ZSRR został ewakuowany – najpierw do Złotonoszy nad Dnieprem, a potem do obozu w Starobielsku, gdzie wcześniej Sowietci więzili polskich oficerów, których wiosną 1940 r. zgładzili w Charkowie. Latem 1941 r. znalazł się w Tockoje (obwód czelabiński, Rosyjska FSRR). Wstąpił do Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem gen. Władysława Andersa. W lutym 1942 r. wyjechał wraz z wojskiem do Uzbekistanu. Przebywał w Kaganie w obwodzie bucharskim oraz w Czirakczu w obwodzie kaszkadaryjskim. Po ewakuacji z ZSRR Henryk Paprocki służył w 2. Korpusie Polskim. Wziął udział m.in. w bitwie pod Monte Cassino. W 1946 r. wyjechał do Wielkiej Brytanii, a rok później zdecydował się wrócić do Polski.

Relacja Henryka Paprockiego jest zapisem przeżyć polskiego jeńca w radzieckiej niewoli, żołnierza Armii Polskiej w ZSRR i 2. Korpusu Polskiego, weterana kampanii wrześniowej i kampanii włoskiej. Ten żołnierz-Sybirak pozostawił po sobie wspomnienia napisane prostym, nieraz wręcz szorstkim językiem, co nadaje im unikalności. Dostarczają wielu cennych informacji o życiu jeńców radzieckiej niewoli. Nie są także pozbawione szczegółów, które świadczą o ich autentyczności. Paprocki nie tuszował swoich doświadczeń na Wschodzie i w trakcie walk we Włoszech. W tylko nielicznych miejscach zdecydowałem się na drobne interwencje redakcyjne. Relacja Henryka Paprockiego została nagrana w 1992 r. przez Henryka Hyrycza i następnie opracowana przez Wiesławę Torzecką. Jej tytuł zaczerpnąłem z tekstu. W Archiwum Sybiraków Uniwersytetu Łódzkiego jest oznaczona sygnaturą R-205.

Wojciech Marciniak